

Wspomnienia z Powstania Warszawskiego 1944 r.

/Ryszarda Pruskiego, pseudonim "Di c k" z batalionu "Parasol"/

Na kilka dni przed 1 sierpnia 1944 r., a więc dniem wybuchu Powstania sekcja nasza z drużyny podch. "Gryfa" miała swój punkt zborny w mieszkaniu "Żbika" /Zygmunta Junga/, jednego z członków naszej sekcji, na Żoliborzu przy ul. Krasińskiego 8. Tam spotykaliśmy się i oczekiwaliśmy na hasło przewidywanego wybuchu powstania. Około godz. 15⁰⁰ w dniu 1 sierpnia dowiedzieliśmy się, że powstanie rozpocznie się o godz. 17⁰⁰ i otrzymaliśmy rozkaz udania się na wyjściowy punkt zborny całej naszej drużyny, który mieścił się przy ul. Elektoralnej 5. W momencie otrzymania rozkazu, o ile pamiętam, poza mną na Krasińskiego byli obecni "Żbik" /Zygmunt Jung/, "Sokół" /Bogdan Jarzabek/ i "Gradus" /Roman Grudziński?/. "Żbik" i "Gradus" pojechali na Elektoralną dorożką przewożąc równocześnie ekwipunki całej sekcji. Natomiast ja z "Sokołem" udaliśmy się tam pieszo. Droga jaką obraliśmy była okrężna, celem ominięcia głównej arterii tj. ul. Mickiewicza, wiaduktu żoliborskiego nad Dworcem Gdańskim i Bonifraterskiej, gdzie można było łatwo spotkać patrole żandarmerii niemieckiej. Prowadziła ona z ulicy Krasińskiego przez park Żeromskiego, ulice Śmiałą i Gen. Zajączka, park im. Traugutta do Zakroczymskiej i przez Stare Miasto do Pl. Teatralnego. Na Pl. Teatralnym zjedliśmy jeszcze lody w cukierni znajdującej się między Ratuszem, a ul. Bielańską, a następnie ul. Senatorską doszliśmy do Elektoralnej. Na punkcie zbornym była już prawie cała drużyna w komplecie z "Gryfem" na czele, a oprócz nich byli jeszcze chłopcy z innej drużyny, z których pamiętam "Fernanda" /Zbigniewa Storożyńskiego/. Było tam około 20 osób. Ja z "Sokołem" przybyliśmy na Elektoralną jako jedni z ostatnich. Stwierdziliśmy, że "Żbik" i "Gradus" przybyli dorożką również szczęśliwie, chociaż na Żoliborzu mniej więcej w tym czasie słychać było strzelaninę, w której oni mogli się znaleźć.

W punkcie zbornym otrzymaliśmy broń i amunicję. Ja otrzymałem pistolet 9-strzałowy typu "Walter" i kilkadziesiąt sztuk naboju. Pistoletów maszynowych było bardzo mało, a jednym ze "szczęśliwców", który dostał niemiecki MP był "Żbik". Wszyscy dostaliśmy również opaski biało-czerwone, które od razu założyliśmy na lewe ramię. Niektórzy z nas otrzymali również granaty

tw. "filipinki". Tak uzbrojeni i po krótkiej informacji odnośnie czekających nas zadań i trasy przemarszu, cały oddział pod dowództwem "Gryfa" wyszedł na ulicę około godz. 17⁰⁰. Celem naszym było udać się na Wolę na ul. Młynarską, gdzie był wyznaczony dla nas rejon walki.

Trasa naszego przemarszu przebiegała ulicami: Elektoralną, Orlą, Leszno, a następnie Solną do Ogrodowej. Ulice były opustoszałe, a gdzieś tam z oddali słychać było odgłosy strzelaniny. Na trasie tej szliśmy, a chwilami biegliśmy "gęsiego" pod domami, trzymając w ręku broń gotową do strzału. Ukazanie się naszego oddziału na ulicy wywołało ożywienie w okolicznych domach i ludzie zaczęli wychylać się z okien i wychodzić na balkony. Na Elektoralnej i Orlej mieszkańcy pozdrawiali nas radosnymi okrzykami i wymachiwaniem rąk, a w niektórych oknach pojawiły się nawet biało-czerwone chorągwie. Te pozdrowienia mieszkańców wywoływały u nas radość, dumę i odczucie doniosłości chwili, wyciskające trudne do powstrzymania łzy.

Gdy znaleźliśmy się na ulicy Leszno nasi chłopcy oddali pierwsze strzały do Niemców, których dojrzeliliśmy w barze po drugiej stronie ulicy przy kościele na rogu Leszna i Karmelickiej. Nie zatrzymując się dłużej pobiegliśmy dalej ulicą Leszno do Solnej i skręciliśmy w Ogrodową. Tu znaleźliśmy się na tyłach gmachu Sądów, gdzie były niemieckie posterunki w żelbetowych kołpakach. Po krótkim ostrzelaniu przez nas tych posterunków, znajdujący się tam wartownicy wycofali się do budynku Sądów. Skorzystaliśmy z tego i ruszyliśmy w stronę Żelaznej, pozorując jeszcze atak na sam budynek i rzucając granat pod żelazną bramę wjazdową. Kilogramowa "filipinka" wybuchła przy samej bramie, lecz jej nie uszkodziła, ^{natomiast} narobiła tyle hałasu, że żaden Niemiec nie wychylił nosa i nie śmiał nam przeszkodzić w dalszym marszu.

Najtrudniejszą przeprawę jednak mieliśmy przez ulicę Żelazną. Ledwie pierwsi nasi chłopcy pokazali się na skrzyżowaniu Ogrodowej z Żelazną zostaliśmy ostrzelani przez Niemców z broni maszynowej wzdłuż Żelaznej, a mianowicie z posterunków żandarmerii przy Chłodnej i z wieżyczki przy murach żydowskiego ghetta przy ul. Leszno. Wskutek tego ostrzeliwania zmuszeni zostaliśmy do przebywania Żelaznej pojedynczo, skokami. Tu ponieśliśmy pierwszą ofiarę w naszej drużynie, ponieważ został ciężko ranny w nogi "Żbik". Stało się to w ten sposób, że "Żbik" po przeskoczeniu

ulicy zajął stanowisko ogniowe na lewym rogu, w stosunku do kierunku naszego marszu i w pozycji stojącej zaczął ostrzeliwać Niemców z PM-ów w kierunku Chłodnej. Miało to na celu stworzenie ognia ochraniającego przeskok pozostałych kolegów, co udało się zrobić pomyślnie. Jednak sam dostał od tyłu w uda obu nóg serię pocisków z karabinu maszynowego od strony Łeszna. Rannym "Żbikiem" zajęły się sanitariuszki, które go odtransportowały do szpitala. Od tego momentu nie miałem już żadnego kontaktu ze "Żbikiem" do końca powstania.

Po przebyciu skrzyżowania na rozkaz "Gryfa" oddział nasz poszedł ulicą Ogrodową w stronę "Kercelaka" i już bez żadnych przeszkód i potyczek dotarł na ulicę Młynarską róg Żytniej. Było to około godz. 18⁰⁰. Jak się okazało był to punkt zborny również innych drużyn "Parasola". Tam się dowiedziałem, że drużyna "Gryfa" wchodzi w skład plutonu pod dowództwem podch. "Ryśka" i kompanii ppor. Jeremiego.

Pierwszą rzeczą, którą zrobiliśmy łącznie z mieszkańcami były barykady na skrzyżowaniu ulic Młynarskiej i Żytniej, przeciw spodziewanym atakom Niemców od strony Wolskiej i zachodniego wylotu Żytniej. Skrzyżowanie Młynarskiej z Żytnią wraz z najbliższymi domami na Młynarskiej stanowiły siedzibę i punkt wypadowy między innymi i naszej drużyny w kierunku Wolskiej.

2 i 3 sierpnia budowaliśmy w dalszym ciągu nasze barykady i przygotowaliśmy stanowiska ogniowe. W tych dniach dostaliśmy mundury niemieckie, zdobyte przez inne oddziały powstańcze w magazynach na ulicy Stawki. Dnia 3 sierpnia po południu drużyna "Gryfa" udała się Młynarską do Wolskiej i tam zajęła stanowiska w wysokim domu mieszkalnym, graniczącym z wesołym miasteczkiem "Wenecją". Tam też nocowaliśmy z 3 na 4 sierpnia.

4 sierpnia "Gryf" z częścią drużyny wyruszył do pałacu Michla, mieszczącym się na Wolskiej vis a vis fabryki "Franaszka", gdzie łącznie z innymi oddziałami powstańczymi walczył z nacierającymi Niemcami wzdłuż Wolskiej w kierunku Młynarskiej. Pozostała część drużyny "Gryfa" pozostała jako rezerwa i równocześnie jako dalsza linia obrony w wysokim domu na Wolskiej. W rezerwie tej byłem również i ja. W pałacu Michla brał udział w walkach

między innymi "Sokół" /Bogdan Jarząbek/, o którym dowiedziałem się po wycofaniu się naszych oddziałów na Młynarską, że został on ciężko ranny w brzuch. Przypuszczalnie była to rana śmiertelna, a w każdym bądź razie nigdy już "Sokoła" nie widziałem. Tego dnia piechota niemiecka /formacje SS/ przedarła się do barykady przy ul. Młynarskiej, na której zajęła stanowiska bojowe. Pamiętam, że w ramach prowadzonych walk z Niemcami znajdującymi się na barykadzie, rzucałem do nich granatami z dachu wspomnianego wyżej wysokiego domu mieszkalnego. Pod koniec tego dnia w tym domu przeżyliśmy również bombardowanie lotnicze. Szczęśliwie budynek, w którym się znajdowaliśmy nie miał trafień, natomiast jak potem stwierdziliśmy było kilka lejów bombowych na placu "Wenecji".

5 i 6 sierpnia 1944 r. znajdowaliśmy się przy naszych barykadach na skrzyżowaniu Młynarskiej i Żytniej z zapleczem cmentarza Kalwińskiego. Od 6 sierpnia barykada nasza stała się terenem bezpośrednich walk z Niemcami, którzy atakowali nas od zachodu, na barykadę w poprzek Żytniej. Niemcy atakowali czołgami i pichotą. Wskutek robienia barykady z dział czołgów, drużyna "Gryfa" wycofała się i zajęła stanowiska ogniowe w narożnym budynku Młynarskiej i Żytniej. Stanowiska nasze znajdowały się w oknach i balkonach I piętra. Mieliśmy tam 1 RKM przeniesiony z barykady, z którego ostrzeliwaliśmy piechotę niemiecką kryjącą się za czołgami. Prócz tego próbowaliśmy razić nieprzyjaciela z bliższej odległości granatami, co robiliśmy z za dużej sterty beczek znajdujących się po drugiej stronie Młynarskiej. Jednakże wskutek silnego obstrzału i naporu nieprzyjaciela zmuszeni byliśmy opuścić dotychczasowe stanowiska i wycofać się na cmentarz Kalwiński. Wycofaliśmy się przez podwórka posesji znajdujących się wzdłuż Żytniej w kierunku Karolkowej, a następnie zrobiliśmy przeskok przez ulicę do bramy cmentarnej znajdującej się w murze. Gdy znaleźliśmy się na terenie cmentarza, a właściwie podwórza będącego w granicach muru cmentarnego, oddzielonego od właściwego cmentarza zielenią i jakimś płotem, dosięgnęły nas niespodziewane pociski niemieckich moździerzów lub granatników. W wyniku tego obstrzału zginęło na miejscu kilku ludzi z naszej drużyny. Ponieśliśmy wtedy chyba największe jednorazowe straty ludzi w naszej drużynie. Było to dla nas pozostałych przy życiu

szokujące, po-nieważ w czasie bezpośrednich walk w miejscu, z którego wycofaliśmy się nie ponieśliśmy poważniejszych strat, a w momencie pewnego rodzaju odprężenia otrzymaliśmy tak silne uderzenie przez niewidzianego wroga.

Tego samego dnia ^{na} cmentarzach były prowadzone intensywne walki z nacierającymi Niemcami. Drużyna "Gryfa" wraz z innymi oddziałami zajęła stanowiska obronne na cmentarzu Ewangelickim wzdłuż murów od ul. Młynarskiej, między kaplicą Halpertów, a końcem cmentarza, gdzie znajdował się ceglany dom grabarza. Początkowo prowadziliśmy walki z muru cmentarnego, a następnie zostaliśmy zepchnięci w głąb cmentarza o kilkadziesiąt metrów. Ukryci za nagrobkami ostrzeliwaliśmy Niemców wdzierających się przez wyrwy muru cmentarnego. Ja rzucałem kilkakrotnie granatami na atakujących Niemców w rejonie domku grabarza. Na rozkaz "Gryfa", gdy nie miałem już granatów, wycofałem się w głąb cmentarza i ukryty za jakimś nagrobkiem czekałem na dogodne cele dla mojego "Waltera". W odległości kilkunastu kroków przede mną po lewej stronie zajmował stanowisko strzeleckie "Gryf". Widziałem go, jak co chwila strzelał seriami ze swojego PM-a. W pewnym momencie przestał strzelać, zachwiał się i przytrzymał nagrobka za którym stał. Wkrótce potem widziałem, jak się wycofywał wsparty o kolegów. Okazało się, że dostał postrzał w szczękę. Rannego "Gryfa" odprowadzono na tyły, a następnie odtransportowano do szpitala. Ja natomiast, jak i pozostali obrońcy cofnęliśmy się na tyły cmentarza.

W czasie wycofywania się w głąb cmentarza w pewnym momencie zobaczyłem leżącego między nagrobkami ciężko rannego w głowę powstańca, którym się zająłem, ponieważ leżał bez żadnej, chwilowo przynajmniej, pomocy. Wskutek silnego obstrzału i bezwładu rannego nie wiedziałem początkowo jak go ściągnąć na tyły, zwłaszcza że nie można go było w tych warunkach podnosić. Usiadłem więc na ziemi i nasunąłem go sobie na wyciągnięte nogi i będąc w takiej pozycji przesuwałem się powoli ze swoim ciężarem. W ten sposób przebyliśmy kilka metrów wśród różnych nierówności terenowych, aż przyszła pomoc i ranny został zabrany.

Tego samego dnia pod wieczór wycofaliśmy się z cmentarza na "gęsiówkę", gdzie nocowaliśmy.

Przez następni dni trwały ciągle jeszcze walki na cmentarzach i w ich rejonach, gdzie parę razy zajmowaliśmy je i opuszczaliśmy. Dopiero 9 sierpnia grupa nasza, w której się znajdowałem wycofała się na Stare Miasto i zakwaterowana została w Pałacu Krasińskich przy placu o tej samej nazwie. Tego dnia mieliśmy trochę spokoju i odpoczywaliśmy po trudach walki na Woli.

Pod wieczór 9 sierpnia zostałem odkomenderowany w grupie około 10 ludzi na patrol rozpoznawczy pod Pawiak zajęty przez Niemców. W patrolu tym brał udział między innymi "Brzoza" /Zbigniew Rylski/. Zadaniem naszym było podejść przez gruzy ghetta pod Pawiak i dowiedzieć się o sile ogniowej znajdujących się tam Niemców. Posuwaliśmy się tam w tyralierze, skokami, kryjąc się w gruzach z równoczesnym ostrzeliwaniem budynku Pawiaka, w celu sprowokowania Niemców do odpowiedzi i wykazania przez nich siły ogniowej. Na prawym skrzydle mieliśmy RKM, a ja miałem PM-a. W pewnym momencie nasz RKM się zaciął i zamilkł. Ponieważ jednak był rozkaz posuwania się naprzód z utrzymaniem ognia chciałem jakoś zastąpić zacięty RKM swoim PM-em. W związku z tym wysunąłem się jeszcze bardziej do przodu, zająłem jak mi się zdawało dogodną pozycję strzelecką na jakiejś resztkę muru wśród gruzów, nawet z przykryciem kawałkiem starej dachowej blachy. Było to jakieś 200.- 300 m od Pawiaka. Z tego też miejsca strzelałem seriami do okien Pawiaka. W pewnym momencie poczułem nagle gwałtowne szarpnięcie w lewy bark, silne dzwonienie w uszach i kolorowe pląty zaczęły mi latać przed oczami. W pierwszej chwili przypuszczałem, że zostałem uderzony jakimś kawałkiem cegły, podobnie jak tego doświadczyłem już raz w czasie walk na cmentarzu Ewangelickim. Gdy minął pierwszy szok, stwierdziłem że lewe ramię trzymające PM-a opadło mi bezwiednie i dopiero po chwili zobaczyłem poszarpane ubranie w okolicy barku. Odłożyłem możliwie lekko PM-a i prawą ręką podtrzymałem swoje lewe ramię za łokieć. Wtedy poczułem silny ból zwisającego ramienia, wystąpiły na mnie poty i odczułem osłabienie. Nie miałem już wątpliwości, że zostałem ranny. Okazało się później, że zostałem trafiony odłamkiem z pocisku granatnika lub moździerza, który wybuchł w okolicy

mojego stanowiska strzeleckiego. Czując się na tyle słaby, że nie będę mógł się sam wycofać z mojego stanowiska strzeleckiego, znajdującego się około 1 m powyżej poziomu gruzów, zacząłem wołać na pomoc kolegów. Pamiętam, że 2 kolegom, z których jednym był "Brzoza" /Zbigniew Rylski/, udało się do mnie podczołgać. Wtedy najpierw oddałem im PM-a, a następnie przy ich pomocy udało mi się zsunąć z mojego stanowiska strzeleckiego. Widocznie w tym momencie musieli nas zauważyć Niemcy i zaczęli mocno ostrzeliwać seriami pocisków świetlnych. Zmuszało to nas co chwila do padania lub schylania się i krycia się za nierównościami z gruzu. Koledzy nie wiedząc w co zostałem trafiony, urażali mnie bezwiednie w strasznie bolący bark, podtrzymując za obydwie ramiona. Tak bez mała mnie ciągnąc, koledzy wydostali się szczęśliwie z pod ostrzału niemieckiego na ulicę Gęsią, między stertami gruzów po obydwu stronach jezdni. Tam zaopiekowały się mną sanitariuszki, które na noszach przeniosły mnie do szpitala Jana Bożego na Bonifraterskiej. W szpitalu zajęto się mną troskliwie, od razu zostałem wzięty na stół operacyjny, gdzie po zastrzyku straciłem przytomność. O ile wiem miałem zrobioną operację usunięcia z rany /wielkości dłoni/ potrzaskanych kości barku i obojczyka oraz odłamków /ale tylko częściowo/.

Od momentu zranienia resztę powstania spędziłem już tylko w szpitalach, ponieważ okazało się, że byłem ciężko ranny i miałem duży wpływ krwi. Nie było mowy o tym, żebym w krótkim czasie mógł włączyć się znów do walki, ponieważ nie mogłem się utrzymać na nogach nawet przy czyjejś pomocy.

Mój pobyt w szpitalu Jana Bożego trwał do około 20 sierpnia. Początkowo leżałem na piętrze, a po paru dniach zostałem przeniesiony z pozostałymi rannymi do piwnic szpitala, ponieważ budynek szpitalny stał się obiektem ostrzału artylerii oraz rakiet /tzw. "krowy" lub "szafy"/ z okolicy Dworca Gdańskiego i uległ częściowemu zniszczeniu. Poza tym budynek stał się punktem obrony powstańców.

Po 20 sierpnia nastąpiła ewakuacja rannych i zostałem przeniesiony do szpitala zorganizowanego w kościele Św. Jacka przy ul. Freta. Ja leżałem

nie w samym kościele, tylko na parterze budynku przylegającego do kościoła, który stanowił pomieszczenia żeńskiego zakonu. Była to długa sala, z której było wyjście na ul. Starą, biegnącą równolegle do Wisły. Budynek ten uniknął zbombardowania, co jednak nie ominęło samego kościoła Św. Jacka, gdzie zginęło bardzo dużo ludzi. W szpitalu tym byłem do 1 września, kiedy zajęli go Niemcy. W momencie zajęcia, w szpitalu znajdowali się przeważnie ciężko ranni, ponieważ lżej ranni zostali wcześniej ewakuowani. Po zajęciu, szpital został przez Niemców podpalony i ranni musieli ratować się ucieczką. Część rannych została wyniesiona przez pozostałe kilka sanitariuszek, a część wychodziła albo wyczołgiwała się o własnych siłach. Do tych ostatnich należałem i ja, ponieważ wstałem i wyszedłem o własnych siłach, gdy zaczęły do mnie sięgać płomienie z płonących drewnianych schodów, przy których leżałem na podłodze. Po wyjściu z płonącego budynku, kilkudziesięciu rannych leżało potem przez kilka dni na ulicy Starej, na wywleczonych przez sanitariuszki materacach i siennikach. Ranni ci uniknęli rozstrzelania, ponieważ szpital był uznany przez Niemców jako cywilny. Rzebywanie rannych pod gołym niebem było możliwe tylko dzięki olbrzymiemu poświęceniu i opiece pozostałych kilku sanitariuszek, które mimo grożącego im niebezpieczeństwa nie opuściły chorych. Około 5 września Niemcy pozwolili Czerwonemu Krzyżowi na zajęcie się rannymi z ulicy Starej i w ten sposób zostaliśmy przeniesieni do budynku seminarium duchownego przy kościele Karmelitów na Krakowskim Przedmieściu vis á vis Trębackiej.

Stamtąd koło 20 września byłem przewieziony do szpitala Wolskiego przy ul. Płockiej, a po kilku dniach wywieziony przez Czerwony Krzyż do Leśnej Podkowy /gdzie 30 września miałem zrobioną drugą operację/, a następnie do Puszczy Mariańskiej koło Radziwiłłowa Mazowieckiego. W połowie października 1944 r. odnalazł mnie brat i zabrał do domu w Żyrardowie, gdzie przebywałem na rekonwalescencji do zakończenia wojny.

Ryszard Pruski

ps. "Dick" *Truus* - Dick

Warszawa, lipiec 1970 r.

Scryptions in Warsaw 1985.